

„NAJCHEŃNIEJ SZUKAŁBYM ICH W WIECZNOŚCI...”
Z arcybiskupem Józefem Życińskim rozmawia Aleksandra Klich *

Aleksandra Klich: Czym jest przyjaźń, Księżę Biskupie?

Abp Józef Życiński: Czymś niezwykłym, co upiększa relacje między ludźmi. I – niestety – mało docenianym w chrześcijaństwie. Szkoda. Przydałoby jej się więcej w tych naszych biurokratycznych kościelnych procedurach.

A. K.: Chrześcijaństwo nie docenia przyjaźni?

J. Ż.: Nie. Z dwóch względów. Po pierwsze, w chrześcijaństwie zawsze ważniejsza była miłość – proszę zauważyć, że najważniejsze przykazanie o stosunku do bliźniego dotyczy właśnie jej: miłuj bliźniego swego jak siebie samego. Po drugie, lękano się, że przyjaźń może przerodzić się w coś niewłaściwego, szczególnie jeśli dotyczy ludzi obdarzonych darem celibatu. Proszę sobie przypomnieć o kłopotach z interpretacjami listów wymienianych między Jordanem z Saksonii i Dianą z Andalo. On był generałem zakonu dominikanów, następcą św. Dominika, ona mniszka. Przyjaźnili się, korespondowali ze sobą. Powiedziałbym, że odrobinę zbyt czule.

A. K.: Chodzi Księdzu Biskupowi o wyznania Jordana, że zawsze myśli o Dianie – gdy pracuje i gdy odpoczywa? Dla nas współczesnych, którzy wszędzie upatrujemy nieprzyzwoitości, jest to niewłaściwe; dla ludzi średnio-wieczna – niekoniecznie. Formy porozumienia się zmieniają. Znam interpretacje, które głoszą, że Jordanowi chodziło o pracę, którą wspólnie z Dianą wykonywali dla Kościoła...

J. Ż.: Oczywiście, konwencje werbalne się zmieniają, nie śmiem wątpić w czystość tej relacji, w końcu Jordan i Diana zostali błogosławionymi. Ale w późniejszych czasach też zdarzały się podobne historie. Ja sam, jak zresztą wielu, miałem kłopot ze zrozumieniem, co łączyło wielkiego teologa Hansa Ursa von Balthasara z lekarką Adrianną von Speyr. Potrzebowałem czasu, żeby dotarło do mnie, że to nie dziwactwo, ekstrawagancja, tylko przyjaźń, wartościowa dla obojga.

A. K.: Ksiądz pisze listy do swoich przyjaciół?

J. Ż.: Tak, ale zwykle niedługie. Zamykam je w czterech zdaniach. Jak chcę coś powiedzieć mojemu przyjacielowi ks. Michałowi Hellerowi, nie mu-

* Tekst stanowi fragment niedokończonego wywiadu-rzeki przeprowadzonego w Wielkim Tygodniu 2010 roku w Lublinie. Tytuł pochodzi od redakcji.

szę do niego pisać obszernych epistoł, po prostu dzwonię i mówię mu, o co chodzi. W kilku słowach, zasadniczo i konkretnie.

A. K.: Przyjaźń dzieje się między dwojgiem ludzi?

J. Ż.: Dla mnie wartością przyjaźni jest to, że nie jest egoistyczna, nie zamyka się w relacji dwóch osób, ona otwiera się na szerokie grono.

Tak było w Krakowie, gdy w latach osiemdziesiątych pracowałem na Papieskiej Akademii Teologicznej. Doskonale się czuliśmy, gdy do nas – do Michała i do mnie – dołączali ks. Józef Tischner, Władek Stróżewski, ich znajomi, przyjaciele. Tak tworzyła się wspólnota wartości, wspólnota sensów, wspólnota uśmiechów. W tamtych ciężkich, szarych czasach, przyjaźń była czymś wyjątkowo cennym. Przyjaźń jest wspólna – tak myślę. Wspólna również dla wielu różnych ludzi.

A. K.: Ksiądz albo zakonnica są z definicji skazani na samotność. Bardzo księdzu doskwiera?

J. Ż.: Bywa wykwintna i luksusowa, gdy w spokoju mogę sobie pisać, rozważać, spacerować nad brzegiem morza. Pamiętam, że gdy zostałem biskupem w Tarnowie, odwiedzili mnie przyjaciele. Po latach wspominali, że gdy odjeżdżali samochodem, obejrzeni się za siebie i zobaczyli mnie samotnego, przygarbionego, na tle nagich drzew. Ale ja tego tak nie pamiętałem. Drzewa były nagie, bo to była późna jesień. Miałem na biurku stos książek do przeczytania i listów, na które musiałem odpowiedzieć. Nie miałem czasu na cierpienie z powodu samotności.

A. K.: Nie wierzę.

J. Ż.: Uwierzyłaby Pani, gdyby przeżyła to, co ja: całodzienną gonitwę, setki spotkań, rozmów. Po takich dniach marzę tylko o książce, dobrej muzyce i wyłączeniu telefonu. I żeby nikt do mnie nie mówił.

Opowiem Pani anegdotkę. Pytam kierowcę, który odwoził mnie niedawno na lotnisko: Panie Tadeuszu, mówią, że żona powinna być ładna, inteligentna i małomówna. Która z tych cech wydaje się Panu najważniejsza? A on mówi: „Chyba ładna, a mówić, niech tam sobie mówi, ja nie słucham”.

A. K.: To ja nie słucham takich seksistowskich dowcipów.

J. Ż.: To był cytat, Pani Olu [biskup się śmieje]. Samotność to coś bardzo intymnego, nauczyłem się sobie z nią radzić.

A. K.: Lubi Ksiądz Biskup ludzi?

J. Ż.: Jakże mógłbym nie lubić?

A. K.: Bo bywają męczący, gdy przychodzą ze swoimi niecierpiącymi zwłoki sprawami. W holu widziałam kolejkę księży do arcybiskupa. Czy kiedy wysłuchuje Ksiądz historyjek z parafii, nie żał Księdzu – biskupowi, ale i profesorowi – czasu, który mógłby spędzić nad książkami?

J. Ż.: Czas płynie i każdy jego okruszek trzeba cenić. Jeżeli chce się pisać, tworzyć, nie można chodzić z imienin na imieniny. Ale wszystkiego nie da się prze-

liczyć na przeczytane czy napisane strony. Gdy przychodzą do mnie księża z różnymi sprawami, załatwiamy, co trzeba, i mógłbym wrócić do swoich tekstów. Ale widzę, że siedzi przede mną samotny człowiek, który przyjechał z zabitej deski wioski, gdzie nie ma z kim pogadać. To pytam: A jak księża zdrowie? I słucham o kłopotach z wątrobą, o reumatyzmie. I widzę, jaki jest mi wdzięczny, że mam dla niego tę chwilę. Wtedy nauka, książki, teksty przestają być ważne.

Kiedys byłem bardzo skupiony na swoich sprawach; na książkach, pracy. Nauczył mnie tego mój mistrz Kazimierz Kłósak, ksiądz, profesor, dzielny i odważny krytyk dialektycznego materializmu, u którego pisałem pracę magisterską. Dyskutował z marksistami w czasach, gdy marksizm był obowiązującą prawdą. To był tytan pracy. Jakiś lekarz powiedział mu, że dojrzały człowiek potrzebuje czterech godzin snu, ale te przed północą liczą się podwójnie. Więc sypiał od dwudziestej drugiej do dwudziestej czwartej. Gdy jego przyjaciel ks. Ignacy Różycki jechał na wakacje w góry, na kajaki, za granicę, to on wybierał się do siostry na wieś w okolicy Żywca. Tam mógł spokojnie, na kocyku, czytać kolejne książki. Opowiadał mi jego brat, że gdy ksiądz Kłósak miał imieniny, nie wpuścił z życzeniami kardynała, bo musiał skończyć artykuł. A gdy kiedys przyszedł do niego student z jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą i zapukał do drzwi, usłyszał: „Nie ma mnie, pojechałem do Krakowa”.

Nawet gdy był stary, chorował, cierpiał, z powykręcانymi reumatyzmem palcami pisał i pisał. Musiał mieć tylko pod ręką przeciwbólowy ibuprofen, który sprowadzał wtedy gdzieś z Jugosławii.

Kłósak był życiowym abnegatem. Widzę, że wiele od niego przejąłem, i dobrze mi z tym. Gdy pracowałem na uczelni, zjadałem w stołówce zupę, a kotlet zawijałem w serwetkę i spokojnie mogłem wrócić do książek.

A. K.: Sypia Ksiądz, jak ksiądz Kłósak, dwie godziny?

J. Ż.: Och, nie. Załuję, ale nie dałbym rady. Mój organizm by tego nie wytrzymał. Potrzebuję znacznie większej dawki snu.

A. K.: Od stołu też nie bardzo Ksiądz może odejść z kotлетem zawiniętym w serwetkę. Siostra Scholastyka by się obraziła.

J. Ż.: Wyporokowali mi to koledzy. Gdy tak uciekałem od stołu z tymi kanapkami albo kotлетem w kieszeni, któryś mi powiedział: „Jeszcze kiedyś inni będą czekać, aż ty wstaniesz”.

A. K.: Znalazłam taki cytat z jakiegoś niedawnej wypowiedzi Księdza: „Na trasy naszych codziennych wędrówek do życiowego Emaus Chrystus ustawicznie posyła nam nowych towarzyszy wspólnego szlaku. Pomagają oni odbudować utraconą nadzieję nawet wówczas, gdy dzień się już bardzo mocno nachylił. Pozwalają doświadczyć pałania serca, w którym wcześniej panowało zniechęcenie doprawione goryczą”.

Przeżył Ksiądz jakieś niezwykle spotkanie z drugim człowiekiem? Takie, które zmieniło Księdza życie?

J. Ż.: Tak, to z Michałem Hellerem. Poznaliśmy się w 1972 roku i ta znajomość ciągle się rozwija. Właśnie dziś przysłał mi maila, żebym się nie martwił – napisze zakończenie do naszej wspólnej książki, bo wie, że ja w tym nawale zajęć nie dam rady.

Naprawdę dziękuję Bogu, że spotkałem takich ludzi, jak Michał.

A. K.: Jak się poznaliście?

J. Ż.: W księgarni na Podwalu w Krakowie. Właśnie skończyłem pracę magisterską, bardzo chciałem, żeby recenzował ją Michał Heller, wtedy już znany, docent, po habilitacji, bardzo ceniony, chyba już nawet wydał pierwszą książkę. Podszedłem, sam nie wiem, skąd mi się wzięła taka odważna premedytacja, i zapytałem: Czy ksiądz Michał Heller? Chciałbym, żeby był Ksiądz recenzentem mojej magisterki. Chętnie się zgodził. Napisał mi recenzję, a potem już pisywaliśmy razem.

A. K.: Obaj zajmujecie się sprawami odległymi od codziennych problemów zwykłych wiernych. Kosmologia, fizyka, ewolucja...

J. Ż.: Nauka powinna być sprawą bardzo bliską człowiekowi, każdy powinien się starać ją rozumieć. Jest narzędziem poznania, również pogłębienia i wzbogacenia wiary.

A. K.: No to zacytuję tytuł Księdza habilitacji. Sekundę, muszę sięgnąć do notatek, bo nie jestem w stanie powtórzyć: *Prostota i dyskonfirmowalność jako kryteria heurystyczne w kosmologii...* Rzeczywiście, temat bliski człowiekowi...

J. Ż.: ...*kosmologii relatywistycznej* [śmiech]. Podobno jakaś znajoma moich bliskich zapytała kiedyś: „Czy ten Życiński w ogóle głosi jakieś kazania? Tak niezrozumiale pisze...”.

Badania naukowe swoją drogą, a kazania – swoją. Nie głoszę kazań językiem naukowym. Wiem, kiedy, co i do kogo powiedzieć.

A. K.: Co jest tak niezwykłego w księdzu Hellerze?

J. Ż.: Jego osobowość. Nazywam go mutantem.

A. K.: Mutantem?

J. Ż.: No tak, bo statystycznie rzecz biorąc, jest bardzo mało prawdopodobne, by ktoś taki mógł się narodzić. Trzeba by przyjąć jakieś mutacje genetyczne u podstaw. Po pierwsze, jego miazdząca inteligencja, wyrazem szacunku dla której była prestiżowa nagroda Templetona. Po drugie, bezwzględny altruizm, absolutne poświęcenie dla innych. Michał ciągle zajmuje się ludźmi, którzy potrzebują jego opieki, jakimiś rodzinami, które sobie nie radzą. A nagrodę Templetona przeznaczył na Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych w Krakowie.

Mówię mu: Pan Bóg cię obdarzył darem celibatu, żebyś mógł docenić, ile kłopotów mają ci, którzy nie zostali tym darem obdarzeni.

Pamiętam, że gdy zostałem biskupem w Tarnowie, Michał mieszkał z kalleką kuzynką, która poruszała się tylko na wózku. On jej gotował, sprzątał,

przebierał ją. Gdy to zobaczyłem, zorganizowałem pomoc, żeby ułatwić Michałowi życie i pracę: siostry zajęły się Tolą, a sąsiadka gotowała obiady. Ale Michał jest tak skromny i pokorny, że nigdy sam by nikogo o to nie poprosił.

On jest wielką postacią, jest w nim połączenie humanizmu, wrażliwości, kultury, poczucia humoru. A obok – absolutna programowa bezradność i brak troski o swoje sprawy. I to na każdym kroku Michał jest bezradny, a przy tym w swoim nierealistycznym podejściu urzekająco piękny. Michał jest mi bliski właśnie jako taki piękny człowiek. Był pewien okres, kiedy byliśmy swoimi spowiednikami.

A. K.: Przyjaciele mogą się spowiadać?

J. Ż.: A dlaczego nie? Pamiętam, że zaraz po tym, jak zostałem wybrany dziekanem na Papieskiej Akademii Teologicznej, wybraliśmy się w góry. I tam go poprosiłem, żeby mnie wyspowiadał. Mówię, że mam dylemat, ile czasu poświęcać na to dziekanowanie, a ile na własne publikacje. Bo na przykład przychodzi do mnie człowiek, który skonstruował perpetuum mobile i zwraca mi głowę, że nie działa. Oczywiście mógłbym, może nawet powinienem, poświęcić temu człowiekowi i jego wynalazkowi kilka godzin, ale to nie będzie miało żadnej wartości poza maniacką, no i własna robota będzie leżeć. A Michał, mój kierownik duchowy, mówi oburzony: „Nie, na to nie możesz sobie pozwolić. Jak ci będą głowę zwracać swoimi problemami, musisz być brutalny”.

Strasznie mi się spodobało, że on, który muchy by nie odpędził, bo mu żal, daje mi duchową wskazówkę tak daleką od jego przekonań: Musisz być brutalny... [śmiech]. Podziwiam go za to jego wielkie serce.

No i te jego geometrie nieprzemienne, obecnie jego wielka pasja intelektualna. Są ludzie, którzy sądzą, że ta geometria doprowadzi do przełomu intelektualnego. Wie Pani, co to?

A. K.: Hmm, nie bardzo. W liceum byłem w klasie humanistycznej... Ale to pewnie nie taka geometria, której uczyłam się w szkole?

J. Ż.: Oczywiście, że nie. Wytlumaczę to Pani jak najprościej: Gdyby w arytmetyce nie obowiązywało prawo przemienności, to czym innym byłoby dwa razy trzy, a czym innym trzy razy dwa. Na takiej zasadzie, gdyby Pani miała wejść dwa razy na egzamin i dostać za każdym razem ocenę „trzy”, to co innego, jak wejść trzy razy i dostać za każdym razem „dwa”.

Tak właśnie działa geometria nieprzemienna. Zajmuje się nią na świecie kilka osób. I właśnie Michał w tym siedzi, to jest jego pasją. I jak patrzę, gdy inni sobie jeżdżą na narty, nad morze, a on bierze komputer i jedzie gdzieś w las, zaszyje się, siedzi, liczy, pisze, to myślę, że naprawdę jest niezwykły.

A. K.: Wasze książki w latach osiemdziesiątych były kultowe, zaczytywali się w nich nie tylko studenci fizyki, ale i polonistyki, teologii. Jak przyjaciele piszą razem książki?

J. Ż.: Mamy różny styl, trudno byłoby siedzieć nam obok siebie i razem wymyślać zdania. Dzielimy się wątkami, razem piszemy tylko zakończenie albo wstęp. To wyjątkowo przyjemna praca, praktycznie bez zgrzytów.

A. K.: Razem jeździliście na spotkania intelektualistów do Castel Gandolfo...

J. Ż.: ...nawet stworzyliśmy serię wydawniczą w Stanach Zjednoczonych. Wszystko dlatego, że z Michałem tak łatwo się dogadać. Taki talent i kultura.

A. K.: A jak Ksiądz zapamiętał księdza Józefa Tischnera?

J. Ż.: Jako człowieka wolnego. Dla niego, górala, śleboda to była rzecz najważniejsza. Nie zależało mu na komplementach, odznaczeniach, słowach uznania. W 1992 roku wybraliśmy go na rektora Papieskiej Akademii Teologicznej. Nie przyjął i rozbrajająco tłumaczył, dlaczego nie może tego zrobić.

Wcześniej, jako dziekan Wydziału Teologicznego, chciałem przeprowadzić wniosek o jego profesurę. Poprosiłem go o bibliografię publikacji, które były niedostępne w kraju. Machnął ręką: „Józiu, daj mi spokój. Całe życie człowiek musi być niewolnikiem, tu sprawozdanie, tam formularz, tu pozwolenie, ja jestem wolny człowiek, ja mam gdzieś wasze tytuły, nie będę niczego składał”. I nie złożył. Na wolności zależało mu bardziej niż na wszystkich tytułach.

A wie Pani, jakim Tischner był cudownym, absolutnym bałaganiarzem? Potrafił nie przyjść na wykład...

A. K.: Do nas, polonistów, we wtorki o osiemnastej się nie spóźniał...

J. Ż.: Nie spóźniał się, ale mógł zapomnieć, który jest dzień tygodnia, i wtedy przychodził dzień później. Pamiętam jak powiedział mi kiedyś w piątek: „Jadę do Wiednia na trzy dni, wszystko załatwione, poodwoływane, kontroluj sytuację”. W sobotę o szesnastej dzwonią z kościoła św. Anny, czy nie wiem, gdzie jest ksiądz Tischner, bo ma dać ślub, a go nie ma. Pół godziny później kolejny telefon: „Nie wie ksiądz, gdzie ksiądz Tischner? Miał nam dać ślub na Podgórzu, u św. Józefa”.

A. K.: Widział Ksiądz, jak atakowano księdza Tischnera? Zarzucano mu, że jest liberałem w sutannie. Że nie jest wierny nauce katolickiej. Że za bardzo otwiera Kościół.

J. Ż.: Oczywiście. Sekretarka kiedyś mi powiedziała: „Wie Ksiądz Profesor, jak zaczynałam pracę, to wszędzie mi gratulowano, że będę mieć szefa takiego, jak ksiądz profesor Józef Tischner. A teraz jak wspomnę, że ksiądz Tischner przyszedł i coś zażartował, to się odwracają i mówią: Daj spokój z tym Tischnerem”.

Józef rodził lęk, bo był otwarty na dialog z myślą współczesną. Jeśli ktoś wychodził poza ogólności, które wystarczały w okresie dominacji marksizmu, typu: „musimy walczyć z bolszewizmem”, wówczas bywał natychmiast klasyfikowany jako liberał. Do Tischnera odnoszono również to określenie, traktując je jako odmianę pomyj.

Po 1989 roku w naszym kraju wielu ludzi bagatelizowało zjawiska, które Tischner zauważał, czyli zagrożenie Polaków mentalnością *homo sovieticus*. Wtedy opanował nas wielki optymizm, jakżeż to my, Polacy, szczególnie udało się Panu Bogu, i uważano, że porównanie do społeczeństwa sowieckiego nam ubliża.

Atakowano go za nieortodoksyjne podejście do ortodoksyjnie wówczas traktowanego tomizmu i wykorzystywanie personalizmu w filozofii. A przecież tak samo robił Karol Wojtyła! A dziś mamy papieża Benedykta, który absolutnie nie jest tomistą. Jego najbardziej inspirują święci Bonawentura i Augustyn.

Tischnera krytykowano przede wszystkim wtedy, gdy przyjmował bez rewerencji opinie naszych rodzimych polityków. I za opowiadanie się za Unią Wolności, która dla wielu, absurdalnie, stała się symbolem zła, siedliskiem masonów. I jest nią do dziś, choć samej Unii dawno już nie ma.

Pamiętam emocjonalny komentarz pani profesor, która skądinąd podczas stanu wojennego zapisała się bardzo pięknie w mej świadomości. Kilkanaście lat później zatrzymała mnie na ulicy, pytając – pełna świętego oburzenia – co Kościół robi z tym Tischnerem, bo przecież jego ostatnia krytyczna wypowiedź na temat rządu Jana Olszewskiego woła do nieba o pomstę.

Wyrażano święte oburzenie, że kardynał Franciszek Macharski milczy, zamiast potępić liberała w sutannie. Biskup Tadeusz Pieronek pacyfikował wtedy nastroje, zapewniając z ironią, że zaczęto już przygotowywać stos, na którym w najbliższych dniach zapłonie Tischner. Kiedyś spotkałem osobę, która powiedziała wręcz: „Nie znam tego Tischnera, ale jakbym go spotkała, to bym mu oczy wydrapała”.

A. K.: Zapytał Ksiądz, dlaczego tak myśli?

J. Ż.: Zdaniem tej pani Józef psuł jedność tam, gdzie powinniśmy być silni, zwarci i gotowi, i nawet guzika nie oddać. Ona była zwolenniczką zmilitaryzowanego chrześcijaństwa. A ja zgadzam się z Tischnerem, że takie wojownicze chrześcijaństwo to nie chrześcijaństwo, i nie mogę zrozumieć tych, którzy tego nie rozumieją. Przecież istota Bożej Miłości wyraża się właśnie w dialogicznym otwarciu.

Bóg mógłby być wielkim samotnikiem. Jemu do szczęścia przecież prawdopodobnie nie byłiby konieczni ani Ola Klich, ani arcybiskup Zychiński, mógłby wybrać jakiś inny sposób bytowania. A tymczasem On pochyla się z miłością nad człowiekiem i to jest dla mnie jeden z większych paradoksów w relacjach Bosko-ludzkich, że Pan Bóg zwraca uwagę na nas przygodnych i potrafi traktować nas jako partnerów w dziele zbawienia świata.

A. K.: Kraków lat osiemdziesiątych byłby inny bez księdza Tischnera?

J. Ż.: Byłby na pewno dużo uboższy. I ja byłbym bez niego uboższy. Tischner to był człowiek niezwykle. Tak jak niezwykle było to jego poczucie dynamizmu, humoru, otwarcia, dialogu, jak niezwykle były jego kontakty międzyna-

rodowe, umiejętność fascynowania ludzi, którzy przychodzili z daleka, umiejętność przemiany serc u tych, którzy przychodzili z uprzedzeniami... Józef był po prostu nauczycielem pluralizmu. Nie zachowałem w pamięci żadnej jego wypowiedzi, w której chciałby poprawiać nauczanie papieskie. Przeciwnie, często bronił poglądów Jana Pawła II, których wielu nie rozumiało. Gdy w Niemczech na jakiejś konferencji pewien profesor zaatakował Papieża za rzekome straszenie nas, wspaniałych ludzi końca dwudziestego wieku, kulturą śmierci, Tischner odpowiedział: „Ci wspaniali ludzie dwudziestego wieku po Freudzie i po Nietzsche wybudowali nam Auschwitz i Kołymę. Czy Panu Profesorowi to nic nie mówi?”. Trafił w sedno.

Oni – Karol Wojtyła i Józef Tischner – wyrastali pod boki Romana Ingardena, uczyli się u tych samych mistrzów, z tych samych książek. Nic dziwnego, że świetnie się rozumieli.

A. K.: Zawsze się Ksiądz zgadzał z księdzem Tischnerem?

J. Ż.: Ależ nie. Sam fakt, że ja zajmowałem się naukami przyrodniczymi, konkretem, a on fenomenologią, już sprawiał, że byliśmy z innych światów, i tak nas postrzegano. Pamiętam, jak w jednym z wywiadów w Telewizji Kraków usłyszałem pytanie: „Czy Kościół biskupa Życińskiego i Kościół księdza Tischnera stanowią dwa różne Kościoły?”. Tak jakby w Kościele musiał panować uniformizm. Proszę zauważyć, że takie poglądy przetrwały do dziś. Ich echa znajdziemy w pojękiwaniu nad podziałami w polskim episkopacie. Tak jakby biskupi nie mogli się różnić w poglądach.

Najbardziej jednoznaczną ocenę dorobku Tischnera sformułował właśnie Papież w telegramie przesłanym w dzień pogrzebu. Przeczytam Pani: „Głęboko odczułem stratę tego kapłana, który był człowiekiem Kościoła, zawsze z troskaniem o to, by w obronie prawdy nie stracić z oczu człowieka, którego Bóg wybrał, umiłował, odkupił, który oczekuje zbawienia. Wszystko, co dostrzegał, odnosił do Boga, który jest Miłością. W tej perspektywie tworzył podwaliny do realizacji dialogu ze wszystkimi ludźmi dobrej woli. Również z tymi, którzy nie zaznali łaski prawdy. Filozof i teolog, który był otwarty na człowieka, a równocześnie nigdy nie zapominał o Bogu”.

Znamienne pozostaje także to, iż żaden z nich – ani Tischner, ani Jan Paweł II – nie straszył zepsutym światem, nie rzucał gromów na myślących inaczej, nie sprowadzał chrześcijaństwa do walki z czyhającymi wrogami. Potrafil nadawać chrześcijaństwu najpiękniejszy kształt, mimo że wiele osób trudziło się, by poprawić im poglądy i charakter.

A. K.: Jak ksiądz Tischner reagował na ataki, na zarzucanie mu zbytniego otwarcia na świat, liberalizm?

J. Ż.: Na zewnątrz spokojnie, w rzeczywistości – cierpiał. Szczególnie wtedy, gdy zarzuty nie były merytoryczne, tylko inkwizytorskie, konstruowane po to, żeby zranić. Ot, choćby wtedy, gdy na kamienicy, w której mieszkał,

ktoś napisał: „Ks. Tischner uczy nas zdrady”, co miało sugerować, że podpisał lojalkę. Co za bzdura! On, który wiele razy się zastanawiał, czy podpisać własny tekst naukowy, mógłby podpisać lojalkę? To prawda, esbecy mu kiedyś coś podsuwali, ale on stanowczo odmówił.

W takich trudnych chwilach Józef, choć cierpiał, nie roztkliwiał się nad sobą. Również w chwili, gdy umierał. Twardy góral, który cenił urok życia, potrafił odchodzić od tego, co piękne, w godzinie wyznaczonej przez Boga. Nigdy nie zapomnę wizyty w klinice na Skarbowej. Opuchnięta twarz, oczy gdzieś tam głęboko utkwione, mówić już nic nie mógł i wziął tylko kartkę i napisał: „I widzisz, czego tu się trzymać, czego tu dłużej szukać, po co mi to wszystko?”. I popatrzył na mnie. To było spojrzenie realisty, który rozumiał, że życie nie kończy się biologiczną śmiercią. Że można odejść; spokojnie umrzeć, nawet gdy się widzi, że znajomi cierpią.

A. K.: Nie było w nim rozpacz?

J. Ż.: Nie, nie, broń Boże. Dla mnie to było jedno z najcenniejszych doznań w życiu: przyjaciel na skraju życia dzieli się ze mną swoją najgłębszą refleksją. Uczy nas nadziei i tego, że są pewne wartości, od których powinniśmy spokojnie odchodzić. Przejście kilka kroków dalej to inny świat – i dlaczego się bać takich przejść? W tej jego góralskiej odwadze i spokoju w odchodzeniu było tak wiele piękna. To było naprawdę wzruszające.

Tischner dla nas, tych, których do siebie przyciągał, był przede wszystkim człowiekiem, który potrafi żyć głoszoną prawdą, przyjacielem o niezwykłym poczuciu humoru. Kimś, kto chodząc po ziemi, wiedział, że ważny jest inny świat. Dziś, gdy w sporach ideologicznych wyraźnie dostrzegamy echa myślenia skażonego marksistowską patologią, widać, jak Tischner wyrastał ponad środowisko i przerastał nas wszystkich wyobraźnią.

A. K.: Gdzie Ksiądz we współczesnej Polsce widzi takie „przejawy myślenia skażonego marksistowską patologią”?

A. K.: W latach osiemdziesiątych Polacy byli wspólnotą. Razem szukaliśmy wartości, które stanowiłyby o sensie życia. Wiele razy się zdarzało, że nawet ludzie w mundurach – milicja, esbecy – robili gesty świadczące o tym, że nie zgadzają się z władzą, której służą. Pamiętam, jak człowiek, który na granicy robił mi rewizję osobistą, rumienił się i przepraszał, bo przecież też jest katolikiem, ale to jego praca, ma na utrzymaniu rodzinę. Rozumiałem go, czułem z nim solidarność.

Dziś zwycięża indywidualizm ambicji, łączy nas tylko wyścig szczurów. W ojczyźnie „Solidarności” szczególnie bolą przejawy zaniku poczucia solidarności społecznej, na miejsce której bywa nierzadko wprowadzana agresja. Tam, gdzie niedawno łączyła nas wspólnota wielkich wartości, dziś pojawia się zakamufLOWANA niechęć, zwłaszcza w stosunku do osób obdarzanych społecznym szacunkiem. Tak daleko odeszliśmy od zasad humanizmu chrześci-

jańskiego, które Jan Paweł II formułował wyraziście w swej pierwszej encyklice. Był to skądinąd ważny składnik nie tylko papieskiego nauczania, lecz naszej życiowej praktyki.

Pamiętam, jak w latach osiemdziesiątych uczestniczyłem w jakimś kongresie filozoficznym razem z prof. Barbarą Skargą. Podczas kolejnego dnia obrad doszła do nas wiadomość, że SB zatrzymało ukrywającego się działacza „Solidarności” – zgodził się wystąpić w telewizji i wygłosił przygotowany mu tekst. Wysłuchaliśmy informacji ze smętnymi minami. Pierwsza przerwała milczenie Pani Profesor. „Nie znamy całej prawdy – powiedziała – być może SB próbowało go szantażować groźbami wobec dzieci. Nie wolno nam potępiać zbyt łatwo i za szybko”.

Co nam zostało z takiej postawy szacunku inspirowanego przekonaniem o uczciwości naszych bliźnich? Co ocaleje z lekcji humanizmu, której uczyli zarówno Papież, jak i pani Barbara w swym doświadczeniu łagrów i administracyjnych szykan ze strony „władzy ludowej”? Dodam z bólem: dziś podejrzliwość i nieufność staje się dla wielu wyrazem autoafirmacji. Tu nie wolno usprawiedliwiać – trzeba zmieniać. Opowiadała mi pewna znajoma, że po dłuższym czasie oddalenia od Kościoła postanowiła pójść się pomodlić. To było kilka dni po tragicznej śmierci Bronisława Geremka. I na warszawskim Krakowskim Przedmieściu, pod kościołem, spotkała grupę ludzi z transparentem „Dzięki Panie Boże, że go od nas zabrałeś”. Oczywiście ta kobieta odwróciła się na pięcie i nie wchodząc do kościoła, wróciła do domu. Gorszenie ludzi i odpychanie ich od Kościoła to wielki grzech.

A. K.: To jeszcze katolicyzm?

J. Ż.: Moim zdaniem nie. To prawica, ale antychrześcijańska.

Oczywiście żadna formacja nie ma obowiązku głosić poglądów czy naśladować stylu księdza Tischnera. Kiedy jednak jakieś środowisko występuje w roli obrońców i reformatorów Kościoła, winno wtedy zadać sobie trud uwzględnienia nauki Jana Pawła II. Styl kultury życia kształtowanej przez Jana Pawła II stanowi zobowiązanie dla wszystkich, którzy czekali na papieską beatyfikację. Dla tego stylu machanie mieczem nigdy nie może się stać cechą charakterystyczną. „Schowaj miecz swój do pochwy” (por. Mt 26, 52) – mówi Jezus do Szymona Piotra w czasie maksymalnego zagrożenia, tuż przed pojmaniem. Nie wolno radosnej prawdy o Zmartwychwstaniu przekładać na język buńczucznego pomachiwania szabelką. Kościół płacił nieproporcjonalnie wielką cenę za postawy tych, którzy chcieli robić użytek z szabel, nie zwracając uwagi na treści istotne dla Ewangelii.

Umiejmy wyprowadzać wnioski z historii, nie pozwólmy się zakrzyczeć tym, których głównym atutem są sprawne struny głosowe. Agresji demonstrowanej przez prawicę antychrześcijańską nie sposób uznać za cnotę ewangeliczną.

Tischnera też atakowano ze szlachetnych intencji obrony prawdy albo nawet zatroskania o przyszłość Kościoła, którego trzeba strzec przed liberałami. Identyczne motywy znajdujemy dziś w deklaracjach prawicy antychrześcijańskiej.

A. K.: Ta prawica, o której Ksiądz mówi, głosi, że dla dobra Kościoła walczy z postępującą laicyzacją.

J. Ż.: Na pewno laicyzacja życia będzie się wyrażać w dążeniu do spychania Boga na margines naszych działań. Troska Kościoła o obecność Boga w kulturze prowadzi jednak przez solidarność z człowiekiem i jego dramatami. Tymczasem w zachowaniach prawicy antychrześcijańskiej wzmianki o Bogu pojawiają się głównie przy pochwałach tradycjonalizmu. Szokujący jest jednak również brak otwarcia na godność człowieka wyrażany w fanatycznej agresji, intrydze, pomówieniach.

Czasem w Kościele w Polsce widzę ducha, który inspirował bolszewików, gdy mówili: „To, co służy utrwaleniu zdobyczy rewolucji, jest dobre”. Nie, żadne zdobycze nie usprawiedliwiają pogardy dla człowieka, nienawiści, braku tej solidarności, w której wyraża się humanizm.

Początkiem dramatu jest przekonanie, że jesteśmy lepsi, więcej wiemy. Chrystus powiedział: „Wy jesteście światłem świata” (Mt 5, 14). Ale nie sugerował, że reszta to mrok. Przeciwnie, uważał, że światło może mieć różne odcienie, świecić dla różnych ludzi z różną intensywnością. Proszę zobaczyć, jak św. Paweł przemawia na Areopagu w Atenach w siedemnastym rozdziale Dziejów Apostolskich. Chwali Greków za ich kulturę, filozofów, choć oni przecież lekceważą jego i głoszonego przez niego Boga. Mógłby powiedzieć: To ja się z wami męcę, szarpię, niszczę struny głosowe, a wy macie mnie w noś? Koniec. Już więcej nikt z apostołów tu nie przyjedzie. Ale on się nie zraża, chwali, że przyszli na spotkanie z nim. Śmiem twierdzić, że ta postawa jest nie tylko ewangeliczna, ale skuteczna. Postawa mówiąca, że jesteśmy najlepsi, najmądrzejši, świadczy o głębokich kompleksach. To głęboko niechrześcijańskie.

Przedwczoraj po wykładzie dla dziennikarzy w Mediolanie podeszła do mnie mużulmanka: „Bałam się, że będzie Ksiądz straszył islamem. A tymczasem Ksiądz mówił o zagrożeniach, które są wspólne dla całej Europy – i dla chrześcijan, i dla nas, mużulmanów. Solidaryzuję się z Księdzem”. Ucieszyłem się.

A. K.: Zawsze jest Ksiądz takim optymistą?

J. Ż.: Józef Tischner opowiadał historię Jaśka Gąsienicy, który służył w komandosach. Podczas ćwiczeń poinformowano żołnierzy, że będą skakać z pokładu samolotu, gdy osiągnie on wysokość sześciuset metrów. Potem utworzą tyralierę i rozpoczną atak. Wszyscy słuchali z przejęciem, jedynie Jasiek zapytał: – Czy samolot nie mógłby zniżyć lotu do wysokości dwustu metrów, zamiast do sześciuset? – Teoretycznie mógłby – odpowiedział oficer – tylko jak wyskoczycie na wysokości dwustu metrów, to nie zdążą się rozwinąć spa-

dochrony. – Najmocniej przepraszam – zmitygował się Jasiek – nie wiedziałem, że będą spadochrony.

Ja wierzę, że nawet w pozornie beznadziejnych sytuacjach pojawiają się Boże spadochrony.

A. K.: Gdy mówimy o Księdza przyjaźniach, pojawiają się same wielkie nazwiska, nazwiska ludzi, z którymi spotykał się Ksiądz z racji zainteresowań naukowych. To musiał być szok, gdy został Ksiądz biskupem i skazano Księdza na kontakty z kompletnie zwyczajnymi ludźmi.

J. Ż.: Opowiem coś Pani. Jako biskup tarnowski przez siedem lat dojeżdżałem w każdy piątek z wykładami do Krakowa. Zajęcia w ówczesnej Papiejskiej Akademii Teologicznej w Krakowie zakończyłem rok po przejściu do Lublina, to znaczy w 1998 roku. Była znowu jesień, gdy przyjechałem z Lublina, zaproszony z wykładem na Uniwersytet Jagielloński. Spod Wawelu, gdzie przy Bernardyńskiej mieszkalem przez kilkanaście lat, chciałem dojść spacerkiem do Collegium Novum. Doszedłem do kościoła św. Idziego, gdy zauważyłem, że w przejeżdżającym autobusie grupa młodych ludzi intensywnie macha mi rękami. Po chwili autobus się zatrzymał, a oni wysiedli i zaczęli biec w moim kierunku. Kiedy zdyszani podbiegli, usłyszałem: „Bo my właśnie dzisiaj przyjechaliśmy z Nałęczowa, z «Plastyka», na wycieczkę do Krakowa. Kiedy patrzyliśmy gdzie zaparkować pod Wawelem, zobaczyliśmy naszego biskupa...”.

A. K.: Wzruszył się Ksiądz...

J. Ż.: Byłoby niedobrze, gdyby biskupi okazywali się osobnikami całkowicie wypranymi z uczuć. Pozornie małe gesty kształtują w nas poczucie wspólnoty. Okazuje się ono tym bardziej żywe, im więcej serca angażujemy w kształtowanie tej wspólnoty.

A. K.: W młodym wieku został Ksiądz wychowawcą w seminarium. Po raz pierwszy musiał Ksiądz wziąć odpowiedzialność za wspólnotę. Jak traktowali wtedy Księdza klerycy?

J. Ż.: Niektórzy mieli problem, czy mówić do mnie per Józek, czy bardziej służbowo. Wybierali więc ostrożną wersję: „proszę Księdza Prefekta”. Dla mnie nie miało znaczenia, kto jak do mnie mówi. Najważniejsze było nawiązanie normalnego, przyjacielskiego kontaktu.

A. K.: A nie budowanie autorytetu?

J. Ż.: Autorytetu nie buduje się przez tworzenie dystansu.

Chciałbym, żeby człowiek drogowskaz, ten, który mówi innym, którądy iść, nie tylko wskazywał drogę, ale sam nią szedł. Jeśli ktoś nie stosuje się do głoszonych zasad, to mam prawo wątpić, czy głoszona przez niego prawda ma wartość.

Jeśli klerycy widzieli, że jestem wobec nich w porządku, że można do mnie przyjść i się zwierzyć, to byłem dla nich autorytetem bez względu na to, czy mówili do mnie „Józek”, czy „Księżę Prefekcie”.

A. K.: Kościół to instytucja zhierarchizowana. Na jaką otwartość może pozwalać sobie prefekt wobec kleryka? Może być jego przyjacielem?

J. Ż.: Ludzie generalnie potrzebują wyciągniętej w swoją stronę ręki; choć większość boi się rozmawiać. Jedni ze strachu przed reakcją szefa – bo nigdy nie wiadomo, co pomyśli, gdy się otworzyć. Lepiej więc kuferek pozamykać, a swoje myśleć po cichu. Ja wolę, gdy ludzie mówią głośno o tym, co ich boli, gnębi. Są też ludzie poranieni, po różnych życiowych doświadczeniach, którzy potrzebują rady, ale to ukrywają.

A. K.: A jak przychodził do Księdza kleryk, który pytał, co ma zrobić, bo nie jest pewien powołania, to co mu Ksiądz mówił? Namawiał, żeby został?

J. Ż.: Pewien kleryk mi powiedział, że jest jak rozdarta sosna. Chce być księdzem, ale chce też żyć jako świecki. Hmm...

A. K.: I co Ksiądz zrobił?

J. Ż.: Powiedziałem mu, co się stanie, gdy zdecyduje, że ma pozostać przy powołaniu. Nie mogłem mu nic nakazać ani radzić. Nie jestem od prowadzenia za rączkę, każdy musi sam zdecydować. Ja mogę pokazać wartości, ale człowiek sam musi rozwiązać problem. Sam musi dojrzeć.

A. K.: Jest Ksiądz tolerancyjny wobec ludzkich słabości, wahań, grzechów?

J. Ż.: Staram się być.

Człowiek to najważniejsza wartość. Tolerancja służy jego poszanowaniu, jego godności. Staram się każdego traktować indywidualnie, bo dramat każdego człowieka jest inny. Największy grzesznik, pogubiony, sfrustrowany, zasługuje na tolerancję. Wiem, że tego podejścia nie rozumie wielu ideologów trzymanych się zasad za wszelką cenę. Jednak dla mnie odczłowieczone zasady są dobre do przyjęcia w matematyce, ale nie wobec człowieka.

Józef Tischner głosił kiedyś rekolekcje w kościele św. Anny. Doszedł do współczesnej kultury i jej obsesji ciała. I przejechał się po erotomanach tak zdecydowanie, że sam byłem zaskoczony. I nagle jakiś mężczyzna wychodzi z ławki, odwraca się, wychodzi. Po kilku tygodniach Tischner pyta mnie, czy pamiętam tę sytuację: „A jak Pan Bóg na Sądzie Ostatecznym powie mi: takiś liberał, otwarty, wielki profesor, a nie potrafiłeś wyczuć, że słowami możesz bardziej zranić niż pomóc. Wypędzić z Kościoła”.

Zawsze o tym myślę, gdy mam ochotę coś lub kogoś potępić. I staram się gryźć w język. Nie zawsze wychodzi. Gdy mówię kazanie o czymś, czym się przejmuję, łapię się na tym, że podnoszę głos, który się staje surowy i metaliczny. I potem znowu żałuję, że zareagowałem zbyt emocjonalnie. Obawiam się, że gdybym zobaczył tych, którzy przyszli ukamienować Marię Magdalenę, to nie zdobyłbym się na łagodną reakcję, tylko wygarnąłbym im, co myślę. To moja wada. Ale zawsze się z tego spowiadam.

A. K.: A gdzie, według Księdza Arcybiskupa, są granice tolerancji?

J. Ż.: Nie ma takich samych dla każdego, ściśle wytyczonych, granic. Wszystko zależy od człowieka, od jego niepowtarzalnego dramatu. Oczywiście oprócz spraw podstawowych i wartości fundamentalnych, od których nie ma odstępstwa. Kanibalizmu i tortur nigdy nie będziemy tolerować. Uważam, że to człowiek stanowi najważniejszą wartość. To ludzkiej godności ma służyć tolerancja.

Podczas jakiejś międzynarodowej konferencji zaproponowałem, żeby wyniki naszej dyskusji napisać w oświadczeniu odwołującym się do encykliki Jana Pawła II *Redemptor hominis*. Okazało się, że dorośli, wykształceni ludzie, którzy wiedzą, co to kredyt, ubezpieczenie, budżet, nie wiedzą, co oznacza słowo „godność”.

Oderwaliśmy się od kluczowych pojęć. Nie wiemy też, co to jest honor, uczciwość, powściągliwość. A godność jest przecież fundamentem naszej kultury, kształtuje nasz stosunek do drugiego człowieka. Jest w Starym i Nowym Testamencie, jest u Kanta. To godność uniemożliwia instrumentalne traktowanie drugiego człowieka. To dla ludzkiej godności cierpiał Chrystus. A dla nas już nic nie znaczy? Jeśli nic, to – jak pisał Leszek Kołakowski – zasada: „Nie torturuj bliźnich” będzie miała taką wartość jak zasada: „Trzymaj nóż w prawej ręce”. Można nie torturować, ale jeśli się uprzesz, proszę bardzo, potorturuj sobie. No bo to będzie tylko łamanie konwenansu.

Nie chcę żyć w takim świecie, to byłby przerażający świat, z którego zostałyby wyeliminowane uniwersalne wartości, te, które sprawiają, że jesteśmy ludźmi. Dlatego zawsze bronię ludzi, którzy znajdują się w skrajnych sytuacjach. Samotnych, skrzywdzonych, osądzanych bez wyroku. Pani Sawickiej, pana Piesiewicza. Nie potrafię się powstrzymać. Kiedyś na Kongresie Kultury Chrześcijańskiej na KUL-u gościliśmy Ryszarda Kapuścińskiego. Jeszcze nie zaczął wykładu, a już ktoś z pierwszego rzędu zapytał: „Jak to jest, że Pan przyjeżdża na uniwersytety katolickie, a do partii Pan należał?”. Zwróciłem uwagę temu człowiekowi, że sala, w której mamy rozmawiać o uniwersalnych wartościach, nie powinna być miejscem żenujących uwag. Wiem, że nie powinienem tak gwałtownie reagować, ale nie mogę się powstrzymać. Taki jestem raptus.

A. K.: Nie może się Ksiądz powstrzymać, gdy w dyskusjach publicznych, słyszy Ksiądz, jak dobro nazywane jest złem i odwrotnie, a białe czarnym?

J. Ż.: Myślę sobie wtedy: Jesteś Kościołowi potrzebny, by wyjaśniać podstawowe nieporozumienia w trudnych sprawach. Nie zapominaj o tych, którzy czekają na twój komentarz. Doświadczenia zdobyte w życiu to potężna porcja informacji, którą czasem warto się podzielić z innymi.

A. K.: Łatwiej byłoby jednak, gdyby czasem się Ksiądz powstrzymał od dosadnych słów.

J. Ż.: Byłoby może łatwiej, gdybym czasem powściągnął język, ale nie zostałem biskupem, żeby mi było łatwiej, tylko żeby głosić Ewangelię nadziei. Gdy widzę zgorzsenie, pesymizm, nie mogę przechodzić obojętnie.

A. K.: Kazania, radiowe „Kwadrans pasterskie”, Msze Święte, spotkania z księżmi i spotkania opłatkowe, konferencje, bierzmowania – te wszystkie biskupie obowiązki zajmują Księdzu mnóstwo czasu. Gdzie są te rezerwy pozwalające biskupowi spełniać się jako naukowiec?

J. Ż.: Szczerze mówiąc, najchętniej szukałbym ich w wieczności. W dzień moich święceń kapłańskich modliłem się o czterdzieści lat życia znaczonego dynamiką i sensem. Bóg zrealizował tę prośbę w formie nieprzewidzianej przeze mnie, po czterdziestce przeniósł mnie z grona filozofów do biskupów. Zwykle dziękować Bogu za to, co udało mi się zrealizować w obydwu wspomnianych środowiskach. Nieraz, gdy wracam do domu po końskiej dawce spotkań i wykładów, myślę, że może już ta dawka wystarczyłaby na jedno życie. Dziękowałbym wszak Bogu i czułbym się zrealizowany, odchodząc do wieczności w sześćdziesiątym drugim roku życia.

A. K.: Na szczęście Pan Bóg się nie przejmuje Księdza Biskupa westchnieniami...

J. Ż.: Przynajmniej na razie.

A. K.: Umówimy się na dokrętkę rozmowy o Księdza przyjaźniach?

J. Ż.: To zależy między innymi od tego, jak Pan Bóg odniesie się do mych sugestii, aby przy dynamicznym życiu nie opóźniać przejścia do wieczności...